

BEM

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

19

Samego siebie upewniał, że gdyby jemu powierzono podszeftowstwo, to również, dla oryentacji bodaj, przedsięwziąłby przeglądy i zwłaszcza artylerii i tej oczywiście, która wracała z pola bitwy; że Milberg dlatego przesadził wymaganiami, że pół życia przy Krasińskim, w dywizji gwardii, miał od rana do nocy mordęgę o guziki, kruczki, hal-sztuki, klamerki, zmarszczkę na mundurze, plamkę na rżemyku.

A pomimo tych słusznych argumentów, domysły, poszepty złe nurtowały pułkownika.

Nadobitek koń Bema ledwie stępa mógł iść. Trakt idący do mostu lyżwowego, był zatarasowany pojazdami, ciągnącymi jeden za drugim od strony Warszawy.

Pułkownik, jak mógł, przesuwiał się bokiem traktu, nie bacząc na pojazdy ani na rozpierających się w nich panów i damy. Dopiero w pobliżu mostu, gdy w koczach, kałamaszkach i wolantach coraz częściej lyskać doń zaczęły generalskie buliony, stosowane kapelusze, akselbanty, kokardy i poselskie szarfy — zastanowił się.

Ani wątpić, jakaś feta czy parada musiała się gotować na Pradze, bo pojazdy coraz były wspólniejsze, coraz większych personatów wiozły. Za posłami bowiem jechali tuż senatorowie, marszałkowie sejmu, szef głównego sztabu Łubieński, w pysznym, presto z igły mundurze, Niemcewicz i chmara wysokiego autoramentu urzędników i obywateli.

Pułkownik dosięgnął mostu. Lecz tu już wypadła nań cała wstęga biało-niebieskich chorągiewek, niebieskich wyłogów i karych koni ulanów czwartego pułku. Bem osadził konia i z ukontentowaniem przyglądał się wymuskanemu, chrzęszczącemu a łopoczącemu chwacko oddziałowi.

Gdy naraz za rwącą się wstęgą zadudniła czwórka gniadoszów, ukazując pułkownikowi, obok uroczystego woźnicy, jaskrawego krakusa-ordynansa i rąbek wystającego z głębi powozu nasadzonego po napoleońsku kapelusza stosowanego.

Był to wódz naczelny. Bem przyłożył dwa palce do furazerk. Równocześnie koń pułkownika zniecierpliwiony podał się naprzód tak, że mało mu gniadosze łba nie musnęły.

Skrzynecki atoli, który zwrócony w stronę Bema siedział, raptem coś niezwykle ciekawego z przeciwnej strony zoczył, bo wykręcił się ku prawej i nie zauważył ukłonu pułkownika.

Bem zebrał cugle, przeczekał drugą wstęgę ulanów, klusujących za powozem i wjechał na most. Teraz miały go jeszcze pojazdy, jeszcze dostojnicy, ale pułkownik nie widział ich, nie zastanowił go ani strzelec prezesa Rządu narodowego, ani ożywienie, którem zadrgała ku niemu w przelocie zimna, matowa twarz Czartoryskiego.

Za mostem, u wylotu Bednarskiej ulicy, na obojętność pułkownika zaczęła się jakaś bryczka. Bem i jej chciał z drogi ustąpić — gdy z bryczki zawołał nań znajomy głos.

— Hej, mości pułkowniku! Jakże to, pułkownik z Pragi, gdy całe miasto na Pragę?

Bem, jakby się ocknął. Z bryczki szczyrzyły się doń rude szpikulce wąsów Sikorskiego.

— Każdy, gdzie mu wola!

— A nie, tak nie uchodzi! Przecież, panie Józefie, musieliście odebrać sztafetę. Wam, mości pułkownik, przecież nadewszystko przypadało! Bez was właśnie...

— Żałuję, nie mogę! odparł bez zająknięcia Bem i szarpnął cugłami.

— Szkoda wielka! Mam ukłony od pani Anny! — Bywajcie! — okrutnie mi bez pułkownika przykro...

Bem nie odwracał się. Konia spartł ostrogami, wdarł się na górę stromo idącej ulicy i z kopyta zawrócił na Podwale. Tu jadącemu za sobą ordynansowi rzucił cugle i poszedł do swoich izdebek.

Widok własnych kątów i chudoby niewymyślnej przypomniawszy Bemowi o czekającym go wymarszu i potrzebie zebrania co najniezbędniejszych manatek. I pułkownik, jakby bojąc się, aby go ta myśl nie odbiegła, jak stał, bez odpasywania pałasza, zabrał się gorączkowo do pakowania i układania rzeczy.

Lecz po ułożeniu pierwszego tobołu, ustał. Więc rozpiął kołnierza, zbył się pałasza i usunął się na krzesło.

Skronie mu pulsowały, twarz paliła. A równo-

cznie ogarnęło go uczucie bezwładności, niemocy. Niby sieć nieuchwytna omotała go, spętała krociami ostrych, wpijających się nitek. Gdzieś w pobliżu rechoł zdławiony Krepowickiego mieszał mu się z dyszkantem akademika z Honoratki. Zadufana twarz Gurowskiego stroiła się w wielki nochal Lelwela. Na ceglasm obliczu Sałackiego ukazywał mu się zadarty dowiecipnie nosok pani Bażanów. Z pod czapy dobosza Michalika śmiały się doń oczy podszefta sztabu. Właściciel kamieniczki imię Brukalski stroił mu się w tabaczkowy surdut magistrza administracji a książe-prezes grał ze Skrzyneckim w faraona.

Bem tarł czoło, odpędzał te cisnące mu się do mózgu głosy, widziadła osobliwe, cudacznie ze sobą splecione — napróżno.

Do drzwi wchodowych zapukano zlekka. Pułkownik wstał z trudem i otworzył zasuwę.

Na progu ukazał się czarny, aksamitny kołnierzyk i srebrne naszywki kapitana audytora.

— Jestem Fiszer — zaczął przybyły, chyląc swą niezwykle chudą i wysoką postać.

— Audytor zapewne w sprawie, w sprawie...

— Z prośbą od generał-gubernatora do pułkownika. Generał polecił mi przypomnieć o obietnicy... Czekaj na pułkownika. A ponieważ ma dziś ucztę w Krasińskich ogrodzie, pragnąłby zatem mieć go na podwieczorku.

Bem usiłował się wymówić, lecz Fiszer, dowiedziawszy się, że pułkownik rusza z obozu tem bardziej nalegać zaczął.

— Generał byłby niepokieszony, gdybyś pułkownik odmówił. A przytem zważ, pułkowniku, na zasługi, na wielką dla cię estymę i na to — dodał smutnie — że do zbytku za dobre, za szlachetne intencje odmowami jest pojon.

Bem nie wahał się dłużej i gdy wreszcie dosięgnął pięknego pałacyku generała, nie żałował, bo Krukowiecki powitał go tak serdecznie, że pułkownikowi jaśniej się zrobiło na sercu.

— A to pocziwie, a to zanie, mości dobrodzieju! Byłem już w nielada turbacji. Prosiłem cię wszak, pułkowniku, na wieczór — a przypomniałem o fecie wojskowej w ogrodzie Krasińskich. Calem tam nie pilno. Ale muszę, muszę się pokazać tam bodaj na moment! Proszę, pułkowniku, tedy, do naszej staropolskiej świetlicy! — I pozwól, że sam zwiastować będę żonie tę radosną nowinę... Heluś — Heluś!...

Bem ledwie rzucił okiem po wytwornym i zgola stylowym salonie, gdy Krukowiecki już wrócił i w towarzystwie swej urodziwej jeszcze małżonki.

Bem teraz nie lada jako baczyć musiał, aby strzyść wartość swoją wystowienia, bo rubasznej szczerości a dobroci generała zawtórowała subtelność pani generałowej.

Komplementy, słowa uznania gradem jęły łomotać w pułkownika. Bem odwracał je, zagadywał, połykał niektóre gładko, lecz w ostatku już mu i słów brakło i konceptu i smaku do lykania.

Pani Krukowiecka w lot Bema odgadła i zmieniła przedmiot.

— Prawdziwie Fiszer miał szczęście, mniemał, że pułkownik może parady zatrzymany...

— A widzisz, że na moje wyszło! — dodał generał. — Pułkownika trzeba znać, jak ja go znam.

— A nie, Jasiu, dlaczego! Mogło by pułkownikowi wypaść z kontenansu.

— Nawet nie wiem nic o żadnej paradzie, hrabino generałowo. Jadąc ku Warszawie, napotkałem sznur kolasek z dygnitarzami, lecz ani rusz nie mogłem zgadnąć...

— Jakto, mości dobrodzieju, nie wiesz pułkownik o dzisiejszem głupstwie imci pana Jana Ledóchowskiego, senatora i ojca ojczyzny! — A no palnął mowę i stany obradujące uchwały, niby senat rzymski po przegranej bitwie pod Kannami, wystosować adres dziękczynny i panu Skrzyneckiemu go doręczyć uroczyscie.

— A więc dlatego książe Czartoryski...

— Twarz Krukowieckiego stanęła w płomieniach.

— Co!? Czartoryski przyłączył się do delegacji!? Czartoryski!..

— Jasiu nie unoś się.

— To jest, nie jestem pewny, hrabio generale, lecz zdaje mi się, że widziałem jego barwę...

Generał odsapnął z trudem.

— Hm! Pewnie, dlaczegoż nie miałby być! I Barzykowski i Morawski cała sfera tych, tych gnębieli sprawy narodowej! Ich wygrana, że mnie nie zaprosili — ja bym ich nauczył rzymskiej historii!

— Nie bierz, kochanie, do żywego. Ach, pułkowniku, nie uwierzysz, ile się co dnia nadręczy, nacierpi! I cóż, nie ma nawet słów pocieszenia. Ginie, marnieje wszystko. Zapadamy się w trzęsawiska i z własnej winy, z własnej lekkomyślności.

— Święta prawda, pani hrabino.

— Najszczęśliwsi są ci, którzy wierzą, którzy nie widzą, którym wystarcza, że jeszcze polskie biją tarabany. Zawsze powtarzam mężowi, że wolej mu zaniechać tych wiatłych honorów, wolej poddać się wyrokom Opatrzności, niż lata zdrowia i życia mieniać w rozterce na miesiące.

Generał potrząsnął głową.

— Nie, moja dobrodziejo. — Piłatem się nie urodziłem i symulować go nie będę.

— Pozwól, może byś pułkownika fajką poczęstował. A ja tymczasem wydam dyspozycję, bo jeżeli panowie zamierzacie zdążyć na fetę... Wszak i pułkownik niezawodnie...

— Nie, pani hrabino-generałowo — ani czasu nie mam ani inwitacji.

— O pierwszy się nie turbuj, pułkownik, bo i ja dłużej godziny nie zabawię — a z wtorej drwij. Jedziesz ze mną. Weźmiemy nadto Fiszera i mego Ledóchowskiego, dzielnego chłopca, no i oczywiście nie żadnego familianta z rzymskim senatorem.

— I wróćcie razem na wieczór. Ach, jakby to było dobrze. Prawdziwie byłabym pułkownikowi wdzięczna.

Bem wymawiał się. Ale Krukowiecki nie dał za wygraną. Powiódł go do kancelarii, usadowił wygodnie w rogu tureckiej sofy, poczęstował fajką i zakonkludował stanowczo:

— Trzeba, abyś był na fecie.

— Mam rozkaz wyruszenia jutro, do dnia!

— I tembardziej dziś pokazać się winienes! Tak!...

Bierz ze mnie przykład. Myślisz, że ja sobie nie zadaję przymusu, że mi pilno stawać między, między zgrają, między tą Skrzynecką, gdzie każdy, gdyby mógł, to by mnie zgnał? Lecz na lud baczę, na wojsko, na mrowie obywateli, oficerów. Moja przytomność nie pozwala kłice lada czem oczu mydlić, tumanić, igać. Krukowiecki, mości dobrodzieju, umie rąbać, umie się o prawdę upomnieć i nie jednemu oślepiemu, zahukanemu do serca trafić! Ho-ho, pułkowniku, a toż by się pan Skrzynecki, uradował, gdybym ja na urazę wziął i ludowi się nie pokazywał!

— Lecz, panie generale, daleko mi, abym miał prawo śladem jego kroczyć.

— Masz prawo! Kto ocalił nas od pogromu? Kto kłeskę ostateczną zażegnał? Kto Igańską wygrał bitwę. Nie upieraj się pułkownik. Nie o chwały idzie, nie o modestę, lecz o losy ojczyzny. Kto na siłach, kto widzi niedołęstwo, kto czynami dowiódł racji — tego święty obowiązek stawiać na wyłomie, narodowi się jawić!

— Na wyłomie, lecz nie na fecie — odrzekł cierpko Bem.

Krukowiecki, miast się urazić, rozśmiał się do brodusznia.

— Cha — cha — cha! Rzekłeś, jak żołnierz, jak rycerz, ale nie jak statysta! Gdybyś miał z żołnierzami do czynienia, twoje byłoby zwycięstwo! Feta! A wiesz, pułkowniku, że dla Skrzyneckiego, dla Ostrowskiego, dla Czartoryszczyzny, Niemojowszczyzny wygrać fetę znaczy więcej niż batalię. Batalia stanowić może o sławie obcego im oficera, batalią można zgnać Dybiczę, ale nie tych, którym się wydarło dowództwo! Na fecie dopiero jedna się przyzwolenie ludu, na fecie fałszuje się zasługi i urasta na odkupicieli, na wybrańców. Wiwatami, fanfarami, jadłem, trunkiem, tumultem, wrzawą, niby blekotem, odurza się, mości dobrodzieju, rozumny! I wodzi się ich potem od fety do fety, byle nie wywietrzały, byle się nie ocknęły! Jedno im w tych nikczemnych mataczynach bruździ, że są ludzie, których imię jest, jak wyrzut sumienia, jak *memento*, jak kongrewska raca wśród nocy. Nie masz pułkownik inwitacji? Radbyś wyglądać aż bobrujące myszy kota same w gości zaproszą. Pominęli cię, pułkowniku z rozmysłem!

— Tembardziej więc...

— Nie, mości dobrodzieju! Nie panu Skrzyneckiemu służysz, nie Rządowi narodowemu! A na Pragę, myślisz, przypadkiem cię wezwali? A taż twoja misya nagle, nie wiadomo po co i dokąd. Kiedy panu Skrzyneckiemu i za tydzień nie śni się ruszyć?! Wyprawiają cię, bo się chcą pułkownika pozbyć!

— Ależ generale! — zaoponował Bem, czując, że jakiś bunt wewnętrzny zrywa mu się w piersiach i wyciąga dłonie do słów Krukowieckiego.

— Nie będę cię przekonywał, dowiesz się o tem sam. Nie tyś, pułkowniku, jeden. Konsoluj się mości dobrodzieju, że imć pan Skrzynecki cały pułk sztafet rozesał do klientów i popleczników, że choć z Modlina o świcie wrócił, już wszystkich senatorów obleciał! Cha — cha! I nie bez racji w rannego ptaszka się zamienił. Ciurów, skrybów wojskowych umyślnymi wezwali na praską ceremonię — tylko